

Wczoraj i jutro MUZYCZNEGO POZNANIA

W Polsce Ludowej skupiło się w Poznaniu bujnie rozwijające się na nowo po zniszczeniach wojennych życie kulturalne północno-zachodnich polski naszego kraju, a znamienity renesans do ostatniego niemal roku przeżywał ruch muzyczny. Ruch ten korzystał w sporej mierze z rzetelnie wypracowanego przez poznańską Operę, Państwową Filharmonię, szkolnictwo artystyczne i amatorski ruch chórów (ZPZSII) kredytu zaufania najszerzych mas społeczeństwa, spadkobierców pieknych tradycji muzycznych Wacławów z Szamotuł i Karolów Kurpińskich z Włoszakowic.

Mimo pewnych falowań linia rozwoju życia muzycznego w ciągu 10 lat wykazywała w Poznaniu stałe „crescendo”, wymiara między narodowa na odcinku życia muzycznego była bodaj najwyższa i pod względem rangi artystycznej najbardziej autorytatywna. Stąd liczne konkursy i zjazdy w naszym mieście o charakterze ogólnokrajowym a nawet międzynarodowym z II Konkursu Skrzypcowym im. H. Wieniawskiego w roku 1952 na czele.

Od pewnego jednak czasu — o bok upadku życia teatralno-plastycznego — zaznaczać się zaczął silniejszy spadek nasilenia tętna i w ruchu muzycznym, co już w ubiegłym sezonie poczęło się zarysowywać w zmniejszeniu frekwencji (biorąc średnio) na koncertach symfonicznych i innych imprezach koncertowych, jak i w nie zawsze najszybszym doborze repertuaru i właściwej proporcji premier i prawykonań.

Odpyły czołowych solistów z Opery poznańskiej, jak i instrumentalistów z zespołu Opery i Filharmonii do Warszawy lub innych ośrodków — rzecz jasna nie sprzyjała większej konsolidacji artystycznej tych placówek. Niemniej w próbowaniu wierności do gronu Przemysławu wielu innych artystów, entuzjazm młodzieży muzycznej — wśród której zabłysnęły niejedne pierwsze jakości talenty — wychowanie stałego kręgu prawdziwych melomanów muzyki operowo-symfonicznej (nie tylko jazzowej, która spełnia zupełnie odmienne zadanie!) — pozwoliły w pewnym stopniu przezwyciężyć narastający kryzys i na tym odcinku naszego życia kulturalnego.

Spoglądając na miniony sezon artystyczny 1955/56 — w porównaniu z sezonem sprzed 2 lat przypadał nam w X-leciu Polski Ludowej — nie znajdujemy specjalnie rewelacyjnych pozycji repertuarowych, ani tych nowości, które może pragnęlibyśmy usłyszeć lub zobaczyć. Niemniej wśród trzech premier operowych — „Lakmé” Delibes’a a w repertuarze filharmonicznym występ szeregu wybitnych solistów i dyrygentów zagranicznych z nowymi pozycjami, jak i wykonania „Aleksandra Newskiego” Prokofiewa i „Requiem” — Mozarta świadczą o rzetelnym pojmowaniu przez kierownictwo tych czołowych placówek artystycznych, to nazwiska szeroko dziś znane w kraju i poza jego granicami, gwarantujące wypracowanie arcydzieł muzyki światowej na jak najlepszym poziomie. Oczywiście powinni oni znaleźć jak najdalej idącą pomoc władz centralnych i lokalnych w trudnej realizacji ambitnej linii programowej przy wielu innych kłopotach natury kadrowo-administracyjnej.

Warunki lokalowe instytucji artystycznych w Poznaniu nie są najlepsze. Nawet Opera poznańska nie rozporządza w pełni własnym gmachem, reprezentacyjna i akustyczna Aula Uniwersytecka przeznaczona jest licznymi imprezami innego typu, tak że nieraz poważne występy artystyczne napotykały na trudności organizacyjne. Czyżby zarzucono projekty odbudowy tzw. sali tronowej w gma-

chu Prezydium MRN? „Estrada” winna przemyśleć bardziej racjonalnie imprezy zespołów zagranicznych. W dotychczasowych warunkach lokalowych Operetka poznańska napotykać będzie na coraz większe trudności inscenizacyjne równie w związku z najbliższą premierą „Wesołej wdówki” Lehara.

Cieszymy się bardzo z występów zagranicznych (Budapeszt, Berlin, Praga) Chóru Młodzieżowego pod dyr. mgr. J. Kurczewskiego, niemniej „żywa legitymacja” kultury muzycznej Poznania — Chór Chłopięco-Męski przy Państwowej Filharmonii w Poznaniu, pielęgnujący świetną tradycję dawnych mistrzów polskich i obcych, nie może jakoś od kilku lat wyjechać zagranicę. „Okazja paryska” dziwnie nie chwyciła, a szkoda — prof. Z. Mycielski niejednokrotnie pisał w „Przeglądzie Kulturalnym” o możliwościach eksportowych polskiej kultury. Samo „Mazowsze” i „Śląsk” nie mogą jeszcze w pełni reprezentować naszej muzycznej kultury. Na razie muszą więc wystarczyć projektowane gościnne występy z „Requiem” Mozarta w Stalino i w Warszawie i na terenie naszego województwa. Mgr St. Stuliński przygotowuje intensywnie nowy repertuar ze szczególnym położeniem nacisku na dawną muzykę francuską i włoską, nie wykluczając również muzyki współczesnej. Nazwiska Marcela de Rance i Clémenta Janequina (szansony programowe jak np. „Śpiew ptaków”, „Bitwa pod Marignano”, „Krzyki Paryża” itd.) są tu wielce wymowne. Na zakończenie Roku Mozartowskiego wykonanie zostanie również słynne „Nie szory” — Mozarta.

III Konkurs im. H. Wieniawskiego napawa nas prawdziwą dumą, iż mimo różnych przeszkód odbędzie się jednak ostatecznie w Poznaniu, ale smuci nas fakt, iż w ekipie przygotowującej się do niego brak choćby jednego reprezentanta sztuki skrzypcowej Poznania, mającej poprzez profesorów Edwina i Zdzisława Jahnke tyle pięknych kart. Październikowy I Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej w Warszawie również odbywa się tym razem bez symfonicznej orkiestry poznańskiej, a dyr. St. Wolski dyryguje Wielką Orkiestrą Polskiego Radia. (Na Festiwalu zostanie wykonany znany w Poznaniu jego Koncert fortepianowy).

Muzykę polską reprezentuje na konferencji Międzynarodowej Rady Muzycznej w Salzburgu dyr. Z. Górzyski, bawiący także kilkakrotnie z gościnnymi występami w NRD. Z tym większym zacięciem oczekujemy — zaszczepiacz Warszawy „Lohengrina” — wystawienia jeszcze w tym roku „Holendra-Tulacza” — Wagnera. W miejsce „Śpiewu królowej” — Czajkowskiego wolelibyśmy „Fontannę Bachczyseraję” — Asafiewa lub szybsze prawykonywanie baletu Tomasza Kiesewettera „Błazen królewski” czy innego mniej znanego dzieła.

Oblecujemy sobie wiele w nowym sezonie muzycznym, wierząc, że braki i niedociągnięcia organizacyjne zostaną usunięte jak najszybciej. Potrzebny jest Poznaniowi przy Filharmonii dobry, stały instrumentalny zespół kameralny, jak i chór mieszany dla wykonywania większych arcydzieł muzycznych. Potrzebna jest pomoc dla upadających i zamierających (z wyjątkiem „Arlonu” i „Moniuszki”) chórów amatorskich Poznania, do niedawna tak bardzo żywotnych. Zmierzach artystyczny światowy jeszcze niedawno Poznańskiego Towarzystwa Muzycznego jest tu najbardziej charakterystyczny i alarmujący. Okolice podpoznańska i sama Wielkopolska żyje tradycją śpiewaczą nadal, dowiodły tego piękne i tłumne zjazdy śpiewacze w Trzemesznie, Szczepankowie i wiele innych. Dla Poznania chórów tym większa to zachęta, by nie zmarować tych wartości, które z takim trudem już się wypracowało.

Teodor SMIEŁOWSKI



Na ekranach kin polskich zobaczymy w miesiącu wrześniu „Poemat Pedagogiczny” — barwny film radziecki, zrealizowany według powieści Makarenki.

— Jakże zadania ma Pracownia Makarenkowska?

— Organizując tę pracownię, wychodziliśmy z założenia, że pedagogika jest nauką aktywną, wyrastającą wprost z życia i rozwijającą się głównie w rezultacie twórczych poszukiwań, w toku prób wcielania nowych, przodujących idei pedagogicznych w życie. W pierwszym okresie postanowiliśmy więc zainteresować pewną grupę nauczycieli studiów dzieł Makarenki i zarażać pasją poszukiwania nowych, skutecznych metod wychowawczych oddziaływania na młodzież.

— Jak to się odbywa w praktyce?

— Rozpoczęliśmy pracę z nauczycielami 7 szkół warszawskich. Co miesiąc na zebraniach rad pedagogicznych omawiany jest kolejno jeden z 6 tematów z zakresu metodyki pracy wychowawczej (między innymi takie zagadnienia, jak świadoma dyscyplina, kary i nagrody oraz formy i metody pracy z aktywnym dzieckiem). Rola nauczyciela skupionych wokół pracowni polega na udzielaniu pomocy referentom przez konsultacje indywidualne i zbiorowe oraz przygotowywanie bibliografii tematu. Podczas dyskusji po referatach nauczyciele mówią o własnych doświadczeniach, metodach stosowanych na przykład przez Makarenkę i próbach zastosowania niektórych z nich we własnej szkole.

— A więc tą drogą metody pracy Makarenki praktycznie wciela się w życie?

— Niezupełnie. Raczej idee wychowawcze, bo do wielu metod opracowanych przez

Makarenkę w warunkach zgoła odmiennych niż w naszych szkołach — nauczyciele słusznie ustosunkowali się podczas dyskusji krytycznie. I to jest zdrowy objaw rosnącej nadziei na samodzielne wypracowanie takiego systemu pracy wychowawczej, który by najbardziej odpowiadał naszym zadaniom, warunkom i możliwościom.

— Pracownia istnieje od października ub. roku. Czy można już podsumować wyniki tej pracy?

— W tej chwili jeszcze nie. Obserwujemy już naprawdę pewne konkretne zmiany w tej czy innej szkole, ale materiały, które zgromadziliśmy w tym roku, są jeszcze zbyt skąpe, by mogły stanowić podstawę do naukowych uogólnień. Próbą podsumowania jednorocznych wyników pracy będzie konferencja naukowo-praktyczna, którą zorganizujemy w czerwcu.

— Dotychczas praca koncentruje się na terenie szkół stołecznych. Czy zespół pracowni nie zamierza zainteresować się również szkołami pozawarszawskimi?

— Zaczęliśmy w Warszawie po prostu ze względów praktyczno-organizacyjnych. Ale orientujemy się doskonale, że w całym kraju jest wiele szkół i zespołów nauczycielskich twórczo i samodzielnie poszukujących rozwiązań trudnych problemów wychowawczych. Chcemy się z tymi nauczycielami spotkać, poznać ich dorobek, przekazać im rezultaty naszych poszukiwań. Liczymy na to, że ich doświadczenia pomogą nam w skonkretyzowaniu różnych zagadnień teoretycznych.

W przedziale dla matki z dzieckiem znalazłem się przypadkowo. Czekala mnie długa i męcząca jazda. Pociąg był zatłoczony, a tu było względnie luźno. Miałem nadzieję, że cerber pociągu nie będzie zbyt surowy, a podróżując matki okazały się tolerancyjne dla męskiego intruza.

Mały, może pięcioletni brzdąc spał na ławce ukołysany rytmem pociągu. Spoczęła blond włoski skłębły się nad czołem w zabawy kogucik czubek. Poszukiwałem wzroku matki. Siedziała naprzeciw dziecka, z drugiej strony okna. Od czasu do czasu podciągała opadającą chustkę, którą było okryte dziecko.

Było w tym ruchu dużo tklivości, choć twarz kobiety miała wyraz surowy; ścigała ją ledwo uchwytny rys gorczy. Patrzyła nic nie widzącymi oczami na ruchomy krajobraz za oknem. Czulem, że gdzieś już tę młodą jeszcze matkę dziecka widziałem...

Przeżywamy czasem chwile, w których rejestrujemy ze szczególną dokładnością każdy otaczający nas przedmiot, każde drgnięcie na twarzach ludzi, którzy są wówczas z nami, każdą ich reakcję na to, co się dzieje. Uświadomiłem to sobie objawiając wzrokiem całą jej twarz. Kobieta wyczuwając na tręte obserwacje spojrziała na mnie przelotnie dużymi, jasno niebieskimi oczami. Musiało to być jednak bardzo dawno i twarz ta nie jest już wiernym odbiciem tamtej twarzy widzianej — ale gdzie i kiedy? Natężyłem pamięć z tym gorączkowym podnieceniem, któ-

Pracownia Makarenkowska

Kłopoty wychowawcze naszych szkół nie przestają być tematem gorącej dyskusji. Debatują wszyscy, którym leży na sercu dobro młodzieży. Narady trwają, ale jakoś nie widać istotniejszych zmian na lepsze. Poprawa stylu pracy i wyniki osiągane przez tę czy inną szkołę, nie zmieniają ogólnie, zgoła nie optymistycznej oceny.

Czy tylko dyskutuje się? Czy nie podjęto konkretnych, poważniejszych prac nie tyle administracyjnych ile naukowo-badawczych, zmierzających do poprawy sytuacji w szkołach?

W tej dziedzinie szczególną pozycję zajmuje pracująca już od roku w Warszawie Pracownia Makarenkowska. Zwracamy się do jej inicjatora i organizatora, prof. Aleksandra Lewina, z prośbą o trochę informacji.

— Z naszych obserwacji wynika, że dotychczas teoria nie przychodzi szkole z pomocą w rozwiązywaniu codziennych problemów.

— Niestety, tak jest. W wielu szkołach źle się dzieje między innymi dlatego, że do dziś nauczyciele opierają się w głównej mierze na instrukcjach i okólnikach, a nie analizują własnych doświadczeń i nie mogą oprzeć się na rezultatach naukowych badań, których nie ma. Pracownia nasza chciała by w jakiejś mierze przyczynić się do zlikwidowania tego nienormalnego stanu rzeczy. Chcemy zachęcić nauczycielstwo do głębszych studiów nad problemami wychowawczymi i do podejmowania śmielszych prób wprowadzania w życie nowych metod. Ta droga musi dać wyniki.

— Jakże plany ma pracownia na przyszłość?

— Pragniemy nawiązać stałą współpracę z kilkudziesięciu szkołami z całej Polski. Chodzi o zespoły nauczycielskie, które w myśl postawionego przez nas hasła „studując — twórczo pracując” — chcemy poznać ich doświadczenia i pomóc w upowszechnieniu ich dorobku.

W naszych planach przewidujemy stworzenie tak zwanej szkoły bazowej, w której skupimy nauczycieli o głębszych zainteresowaniach naukowo-badawczych. Zadaniem tego zespołu byłoby wspólne z pracownikami naukowymi przeanalizowanie i wypracowanie najistotniejszych elementów naszego systemu pracy szkolnej, a więc takich jak: praca organizacyjna młodzieżowa, formy pracy kolektywne nauczycielskie-

go, praca wychowawcy klasowego, skuteczne metody współpracy szkoły ze środowiskiem itp.

Byłoby to nasz warsztat naukowy przystosowany do prowadzenia długofalowych, systematycznych badań. Wnioski i uogólnienia wypracowane w szkole bazowej chcielibyśmy wypróbować w codziennej praktyce. W tym zakresie liczymy na pomoc i współpracę właśnie tych nauczycieli, z którymi nawiążemy kontakt. Wspólnie będziemy zmierzać do udoskonalenia systemu pracy dydaktyczno-wychowawczej w naszych szkołach.

Rozmowę przeprowadził
K. PAWSKI

Czytaliście już?

A Tondl — Jezuit w historii kryzysu jednego sumienia. Str. 360, cena zł 21 — „Książka i Wiedza” 1956 r.

Autor tej książki spędził sześć lat w murach zakonu. W czasie swego pobytu zgłębił on sze reg najistotniejszych problemów związanych z działalnością i charakterem zakonu jezuitów. Książka jego nie jest krytyką zakonu jezuitów i Kościoła z pozycji w całym tego słowa znaczeniu ateistycznych i marksistowskich. Ocena on działalności zakonu jezuitów przede wszystkim na podstawie swych własnych szesnastoletnich doświadczeń i przeżyć, swych własnych pragnień i uczuć, jakie nurtowały w nim w tym okresie.

Tondl najwyraźniej wyraża swą miłość do zasad ewangelii Chrystusa i logicznie, operując bezpo- nym faktami, wykazuje jak dalece najwyżsi dostojnicy Kościoła oraz zakon jezuitów świadomie sprzeniewierają się tym zasadom.

rowki. W drodze zgubiła chustkę, którą zawsze wiązała chcąc ukryć swą ogoloną do skóry głowę. Wyglądała groteskowo z tą czupryną odrastających złotych włosów. W męskiej bluzie ściągniętej pasem, w za wielkich na jej drobne stopy o kilka numerów, rozczła panych butach.

Trafiała do partyzantki z odbitego transportu oświeceniaków. Była z nami od trzech miesięcy. Zalatwia tutaj w lesie jakieś „osobiste porachun-

O. M. Jankowski — „Wezyr”
OPOWIADANIE

TRUDNE

które złoć się w chłodnym już słońcu, rozrzucając po lesie pastelowe kolory opadających liści. Od dwóch godzin utkneliśmy w małym zagajniku. Przylegającym klinem do lasu. Dostępu do zbawczego starodrzewiu broniły niemieckie CKM-y bijące z dwóch stron. Byliśmy osaczeni. Trzy razy odparaliśmy ataki wyjącej gromady Niemców. Teraz już tylko przy strażeni, rzadko odpowiadając strzałami czekaliśmy pierwszych cieni mroku. Amunicja kończyła się. To, że nieopatrnie wleźliśmy w kabałę, było winą mylnego rozpoznania. Informator zapewnił, że Niemców będzie o połowę mniej.

Ośloniety od hitlerowskiego ognia siedziałem na zwalonym pniu, gdy podbiegł do mnie plutonowy Setka, ogromnie zaaferowany. Łączniczka wali do nas. Sam diabeł by tu

porosły anemicznymi krzaczkami. Prędzej Ewa! Tak, dobrze... Jeszcze raz. Jej ruchy krepowała skrzynka z amunicją, którą taszczyła ze sobą. Padła na ziemię, czując się mozołnie, przypłaszczona do płachu. Wlokła ze sobą ciężki bałag.

Naraz znieruchomiała. Nie-dobrze. Baliśmy się wyrazić na sze myśli głośno. Może tylko odpočzywa? Odetchnęliśmy z ulgą, gdy zaczęła posuwać się dalej i gdy wreszcie znalazła się znowu pomiędzy drzewami.

Chłopcy powitali ją okrzykami radości i uznania.

— A co, nie mówiłem? Na nią można liczyć — dogadywał Setka.

Ona zaś, skulona pod drzewem z trudem łapała oddech na twarzy szarej od zmęczenia i kurzu pot wyżyłbił brudne

ki”. Tak to w każdym razie mowiła.

Przyszła teraz z rozkazem, aby wycofała się z pulapki nie czekając zmroku. Mieliśmy częścią oddziału upozorować atak i odwrócić uwagę Niemców, by reszta przedarła się do lasu. Dlatego właśnie przyniosła amunicję. Postanowiliśmy markować atak na ukryte blisko wsi auta z amunicją. Pamiętam każdy szczegół tego szaleńczego odwrotu. Ewa wycyfowała się z ostatnią grupą obsługi naszego CKM-mu, który był po hitlerowskich pozycjach do momentu, gdy cały nasz oddział znalazł się w lesie.

Człowiek głodny dzieli ostatnią kromkę chleba na kilka części, aby w momentach najbardziej dokuczliwych zaspokoić głód. Partyzant odczuwający nieustanny brak amunicji, ze skrupulatnością skapca wydzie

*

HENRYK
WIENIAWSKI

którego imieniem nazwana została jedna z największych imprez muzycznych — Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy.

Zamieszczona obok podobizna, to reprodukcja drzeworytu poznańskiego plastyka Franciszka Burkwiczka.



*

Znowu przemówił Zaratustra

W czasie pierwszej wojny światowej żołnierze niemieccy, udając się na front, wkładali do plecaków najbardziej znane dzieło filozofa Fryderyka Nietzschego (1844—1900) — „Tak mówił Zaratustra”. Zaratustra był jak wiadomo, twórcą religii Persów. Filozofowie niemieckiemu nie chodzilo wcale o propagowanie zasad tej religii, lecz postać twórcy wzięli za wzór mocy i potęgi człowieka.

Idee Nietzschego szybko przeniknęły do literatury niemieckiej, znalazły wielu naśladowców i wielbicieli. Biografowie Hitlera mówią, że niektóre dzieła tego filozofa były stałe na jego biurku a przede wszystkim „Tak mówił Zaratustra”. „Wola potęgi”, „Antychryst”, „Zmierzch bogów” i „Ludzkie, arcy-ludzkie”. Faszyzm uważał Nietzschego za swego filozofa i Hitler kazał rozpowszechniać jego dzieła, nauczać w szkołach, wykladać w uniwersytetach.

Po drugiej wojnie światowej popularność filozofii Nietzschego zaczęła szybko wraść w zachodnich Niemczech. Ostatnio ukazało się już drugie nowe wydanie wszystkich prac tego filozofa, a najwybitniejsi wykładowcy filozofii w uniwersytetach zachodnio-niemieckich jak Martin Heidegger, Karl Jaspers, Alfred Weber i Baldwin Noll gloryfikują dzieła Nietzschego i kultury jego ideologie.

Dlaczego Nietzsche stał się dziś tak popularnym pisarzem-filozofem w zachodnich Niemczech? Czy myśli jego są tak wielkie i wzniosłe, że budzą zachwyt społeczeństwa zachodnio-niemieckiego?

Niemcy były zawsze krajem spekulacji filozoficznych i w dalszym ciągu wybitnych filozofów jak Kant, Hegel, Fichte i in. Nie ich jednak dzieła drukowane są w licznych nakładach, ale tylko Fryderyka Nietzschego, bo jego ideologia odpowiada całkowicie obecnym nastrojom militarystycznym określonych grup w zachodnich Niemczech.

„Kogo najbardziej nienawidzę...”

Autor „Der Wille zur Macht” był filozofem niemieckiej imperialistycznej burżuazji, obrońcą ustroju kapitalistycznego i zacietym wrogiem klasy robotniczej i postępu ludzkości. Nietzsche lekkał się dnia, w którym klasa robotnicza przejmie władzę w swe ręce. Przerazono postępnymi międzynarodowym ruchu rewolucyjnego sądził, że niemiecka burżuazja jest

Henryk Barański

za tchórzliwa, za kompromisowa, zbyt „demokratyczna” i „humanistyczna” aby powstrzymać ten ruch i stać się panem klasy robotniczej. Dlatego żądał drakońskich metod władzy aż do przywrócenia niewolnictwa, bez którego — jego zdaniem — nie może istnieć kultura. „Gdzie istnieje panowanie, tam są masy a gdzie są masy, tam istnieje potrzeba niewolnictwa” („We soła wiedza”). W innym miejscu w „Antychryście” czytamy: Kogo najbardziej pośród tłumów nienawidzę, to tłumowi socjalistycznego, który robotnika nauczył zawiści i zemsty. Z robotnika uczyniono złoźnego żołnierza i dano mu prawa polityczne, nie więc dziwnego, że teraz wyobraża sobie obecną połozenie jako nędzę.”

„Ale czego właściwie chcemy? Mamy cel, musimy znaleźć również środki do tego celu. Jeżeli chcemy niewolnictwa, byłobyśmy głupcami wychowując niewolników na panów. Konieczne jest wywołanie wojny masom przez typ nadludzki” („Zmierzch bogów”).

Nietzsche wypowiadając te potworne idee, przeciwstawiał moralność panów (Herrenmoral) — moralności niewolnictwa (Sklavenmoral) moralności „dzikiej bestii” moralność „nadszłowika” (Übermensch). Nietzsche był przeciwnikiem równouprawnienia kobiet i zdecydowanym wrogiem płci niewieściej. Kobieta, jego zdaniem, powinna być niewolnicą. Pisał on: „Idź do kobiet — Nie zapomnij wziąć bicia” („Tak mówił Zaratustra”).

Nietzsche nie znał klasy ro

botniczej ani naukowego socjalizmu. Nie był również znawcą stosunków ekonomicznych, mimo to stał się politycznym myślicielem, którego wpływ na burżuazję niemiecką na przełomie XIX i XX wieku był ogromny. I nie tylko w Niemczech. Faszyzm włoski wiele zaczerpnął ze światopoglądu Nietzschego. Również w przedwojennej Polsce mieliśmy wśród części młodzieży zwolenników jego zoologicznej filozofii, a dzieła jego były rozpowszechnione szeroko o czym świadczą nakłady jego pism tłumaczonych przez Berenta, Drzewieckiego, Staffa i Wyrzykowskiego.

Posłannictwo „nadeludzi”

Nie gdzie indziej, jak właśnie u Nietzschego trzeba szukać źródeł antysemityzmu Hitlera. Dla tego filozofa niemieckiego idee demokracji i socjalizmu są tylko odmianami chrześcijańsko-ju dajskiej moralności, moralności niewolniczej. Według niego przezycieć taką moralność może tylko człowiek wysooko wartościowy — nadszłowik, a wytworzenie takiego typu i to trwałego jest zadaniem rasy niemieckiej, rasy panów (Herrenrasse). Stąd jego uwielbienie dla Prus i żołnierza pruskiego. „Moim punktem wyjścia jest żołnierz pruski. Przyszłość kultury niemieckiej jest w rękach synów pruskich oficerów” — pisał Nietzsche. Przewidywał on walki klasowe i świadom był zbliżającej się wojny. Zachęcał więc burżuazję niemiecką do aneksji cudzych krajów i następnie walki o panowanie nad światem, co jest zdaniem Nietzschego — posłannictwem narodu niemieckiego („Wille zur Macht”).

Nic więc dziwnego, że w zachodnich Niemczech ukazały się znowu w luksusowych i popularnych wydaniach wszystkie dzieła Nietzschego, że filozofia jego wykładana jest na uniwersytetach. Niemiecki imperializm, na którym opiera się państwo bońskie, uważa się za kontynuatora ideologii Nietzschego i wykonawcę posłannictwa „narodu panów”. Remilitaryzacji Niemiec potrzebna jest filozofia Nietzschego, gdyż daje ideologiczne uzasadnienie antydemokratycznym poczynaniom rządu Adenauera wobec klasy robotniczej. Delegalizacja partii komunistycznej w Niemieckiej Republice Federalnej jest tylko jednym z przejawów odradzającego się faszyzmu, którego pionierem był Fryderyk Nietzsche.

PRZYPOMINAMY „PIERONA”



2 września na Górze Sw. Anny koło Opola odbyła się uroczystość z okazji 35 rocznicy III Powstania Śląskiego. Na zdjęciu: pociąg pancerny zbudowany przez powstańców na wagonach towarowych nazwany „Pieronem” odegrał dużą rolę w ataku na Kędzierzyn.

Fot. CAF

lał sobie aptekarskie dawki amunicji.

Odpowiadaliśmy pojedynczymi strzałami na długie, przeciągłe serie niemieckich karabinów. Co chwilę Setka donosiła mi głosem upominając:

— Wolno, chłopcy, wolno, psiajuchy! Tylko celnie! Widelisz, kapuściana głowa, tego wysokiego? Samsonie! Uwaga — klin! Nie wychylaj swego łba! Wrzós, dynię niżej, bo ci ustrzeli!

śmy ją z wielką ostrożnością do szpitala polowego.

Dopiero kilkanaście miesięcy później byłem w Krakowie i mogłem wówczas spełnić prośbę Ewy. Poszliśmy w inne lasy, rannych z naszej meliny wywieziono także, więc nawet nie wiedziałem, co się z Ewą stało.

W kieszeni pod palcami czułem małe zawiniątko. Idąc ulicą rozglądałem się w poszukiwaniu oznaczonego numeru. Mimo woli zwałniałem kroku.

Stałem przed małą, piętrową

Ewy w za dużych o kilka numerów, rozczłapanych butach, gdy leżała na noszach. Spojrzałem na gospodarza. Patrzył tam gdzie i ja przed chwilą i zdenerwowany gładził swe faliste, lśniące włosy, a teraz przestał wiać jakieś drobniaki na stole.

Wyłożyłem na stół zawiniątko.

— Nie było od niej z obozu żadnej wiadomości... — zaczął jakby się tłumaczyć.

Ogarnęła mnie złość.

WSPOMNIENIE

Mała grupka osłaniająca zbliżała się szybko ku nam. Niemcy pojeśli o co nam chodzi i po krótkiej ciszy plunęli gradem kul w nieszczęsną grupę. Jeszcze dziesięć metrów, — dziewięć, siedem, pięć.

Ewa upadła. Wycior cofnął się, dobiegł. Ciągnął po piasku. Przykurczeni do ziemi, bo Niemcy jeszcze siekli po drzewach, nieśliśmy Ewę w głąb lasu. Oczy szeroko otwarte patrzyli. Te duże, jasnoniebieskie oczy. Położyliśmy ją na płaszczu Wiedzieliśmy co oznaczają duża, szarpana rana w brzuchu.

Otoczyłem ją ramieniem. Z pobliskich warg wydobywał się chrząpliwy, jakiś zmieniony głos.

— Weź to, zanieś. Oddaj — tam jest adres. I powiedz mu, że zawsze kochałam... I wtedy zemdlala. Odwieźli-

kamieniczką. Na chodniku bawili się dzieci. Może dla jednego z nich ten medalion? Patrzyłem na dom nie mając odwagi wejść. Więc to tu żyła Ewa, zanim ubrano ją w pasiaki, pozabawiono złotych loków.

Na pierwszym piętrze tabliczka z nazwiskiem Jerzy Lato-wicz. Zadzwoń! Otworzył mężczyzna wysoki, barczysty.

— Pan do mnie?

Weszliśmy do małego pokoiku umebowanego skromnie lecz przytulnie, jakieś łaski leżały tu i ówdzie porozrzucane.

— Ja... ja... — zacząłem.

Prosiła.

Wzrok mój błądził po pokoju. Wzorzysty szlafrok przewieszony był niedbale przez krzesło. Damskie pantofelki zrzucał ktoś jakby niecierpliwie. Urwałem. Jakos dziwnie przypominały mi się szczupłe nogi

— O kim pan mówi?

— O mojej żonie.

— Ach tak? Nic pan nie wie?

Energicznym ruchem zgarnął przyniesione zawiniątko, które się rozerwało. Medalion i kilka listów wysypały się na stół.

— Zresztą, po co to panu! — wykrzyknął szorstko.

— Córką Ewy, należy jej się medalion.

Bronił się niepewnie.

— Gdzie jest dziecko? — zapytałem.

— U babki.

Zostawiłem tylko medalion.

W tej chwili w zamku zagrzętał klucz i z przedpokoju dozwalał się głos kobiety.

— Jureczku, zobacz co przyniosłam! Gdzie ty właściwie tkwisz?

W drzwiach stała kobieta. Była bardzo ładna, świeża,

LAUREAT NAGRÓDY PAŃSTWOWEJ

ANTONI FERTNER

jest chyba najpopularniejszym aktorem komediowym w Polsce. W r. 1954 obchodził jubileusz 60-lecia pracy artystycznej. Karierę aktorską rozpoczął w operetce już w r. 1898, występując razem z Adolfką Zimajer w Moskwie i Petersburgu, a w r. 1902 zaczął grać role komediowe na scenach warszawskich. Ma już ich na swym koncie ponad pięćset. Był pierwszym polskim aktorem filmowym: w roku 1908 grał w krótkometrażówce „Antoś w Warszawie”. Mimo podeszłego wieku (przekroczył już osiemdziesiąt lat) wciąż jeszcze występuje, ciesząc się olbrzymim powodzeniem u publiczności. Jego najwybitniejsze role powojenne to: Dziadek w „Archipelagu Leoir” Salacrou, Argan w „Chorym z urojenia” Moliere i Gyzysik w „Roman-sie z wodewilu” Turskiego-Krzemińskiego. W roku 1956 otrzymał Nagrodę Państwową II stopnia za działalność artystyczną w minionym 10-leciu. Na zdjęciu: Antoni Fertner ze swym synkiem.

CAF — Fot. Tyminski



Szkoła dobrego teatru

(Dokończenie ze str. 1)

mimicznym i gestycznym, utrzymując go do końca w wyrazistym stylu komediowym, choć łatwo było tu popaść w stylizowany filmowo soczysty komizm à la Toto. W sumie bardzo to udany i wyrównany spektakl, wyreżyserowany sprawnie przez Malicką i Stawowskiego. Uwagę wszakże, że kurtyna opasła powinna wcześniej, to znaczy w momencie udawania się powrotnych nowożeńców do kapieli.

Bardzo mieszane uczucia budziła w nas „recytatorska tragikomedia” Fernando de Rojasa „Celestyna”, adaptowana na scenę przez Achard’a i zainscenizowana przez Leona Schillera. Powodem tych sprzecznych uczuć nie była jednak ani jej „amoralność”, ani też wtopione w nią relikty średniowiecznej religijności, aczkolwiek takie uczucia niepokoją budzić może niewątpliwie u nie przygotowanego do jej odbioru widza.

Wiadomo, że adaptacja Achard’a nie była zwykłą przeróbką sceniczną. Achard zmienił myśl filozoficzną utworu przeciwstawiając fatalizmowi i realizmowi tragikomedii Rojasa koncepcję moralitetu średniowiecznego z jego naczelnym

problemem walki Szatana z Bogiem o duszę człowieka. Leon Schiller zaakceptował w zasadzie kierunek achardowski, nadając „Celestynie” kształt wielkiego widowiska scenicznego z zarysowanym ostro konfliktem o podanej wyżej treści, który nasycił dla kontrastu tłumionym przez średniowiecze — erotyzmem. Pytanie, czy to, co oglądaliśmy na scenie Teatru Polskiego, jest rekonstrukcją wierną oryginałowi schillerowskiemu, czy też jego jakimś szczytówym kadłubem, na którym wyrasta nowa, sprzeczna nieraz z jego starzymi założeniami koncepcja inscenizacyjno-reżyserka? Trudno jest nam odpowiedzieć wyczerpująco na to pytanie. Faktem jednak jest, że Chojnacka w swojej godnej szacunku pasji poszukiwawczej nadała „Celestynie” charakter bliższy koncepcji Rojasa, akcentując w niej bardziej jednak jej pierwotnie realistyczne, a osłabiając fatalizm jej elementów tragicznych. Chojnacka chciała więc według jednej jakiejś zasady intelektu alnej zinterpretować „Celestynę” i sprząć w jedną koncepcyjną całość różnorodność jej motywów. Czy jej się to udało? Orgiastyczny taniec Celestyny na stole i wyzywanie diabła przesyła Chojnacka tymi samymi elementami realizmu komediowego, bo przecież jej Celestyna w diabła nie wierzy. Przyzywanie diabła jest więc u Chojnackiej zwykłą konwencją obyczajową starej wiedzy, podobnie jak eksklamacja „Jezus Maria!” u nabożnej Lukrecji. Ten typ interpretacji scenicznej zagubił jednak ostre kontury fatalistycznego demonizmu tragikomedii Rojasa-Achard’a, a tym samym prawem kontrastu osłabił wymowę jego nielicznych i bardzo ograniczonych elementów komediowych. Ogólny więc zarys kompozycji „Celestyny” nie jest bardzo czytelny i dlatego dezorientuje widza.

Chojnacka nie jest więc ani demoniczna, ani groteskowa. Jest jednak bardzo ludzka, a więc bardzo prawdziwa, nie budzi grozy, budzi jednak dreszcz zaciekawienia, jako niezwykle w swojej moralnej szpetocie żywy egzemplarz ludzki z tamtej epoki, wystudiowany z fizjologicznym prawie autentyzmem.

Niewątpliwie Chojnacka chciała skonfrontować swoją Celestynę z naszą współczesnością, przybliżyć ją do naszego sposobu odczuwania i rozumowania. Motywacja zastosowania takich a nie innych elementów w nowej organizacji widowiska schillerowskiego pochodzi więc ze źródeł czysto racjonalistycznych. I z tego tylko punktu widzenia wydaje mi się, że należy oceniać walory „Celestyny” Chojnackiej.

Z dwóch par nieszczęśliwych kochanków, które zaprezentował nam teatr łódzki, bliższą prawdzie tragedii Kaliksta i Melibei była para: Alicji Raciszówny i Mariana Gamskiego. Aktoży ci bardzo oszczędnymi środkami doprowadzili swój dramat do punktu kulminacyjnego, który tym bardziej zaskakiwał swoim nieoczekiwanym rozwiązaniem. Halina Pawłowicz (Areuza)

z dużym wdziękiem zmysłowym odegrała scenę alkową, a Zofia Wilczyńska (Lukrecja), Jerzy Kaczmarek (Parmeno) i Jerzy Antczak (Sempronio) ucieleśniali z powodzeniem dwójkę tragicomicznej struktury dramatu, której najcenniejszym wykładnikiem była scena nocnej schadzki: tragicomiczne „qui pro quo” Parmena i Sempronio wzmacniało jej napięcie dramatyczne. Wyolbrzymioną przez Acharda koncepcją roli Centuriona, jako uosobienia zła, które pozostaje nadal na ziemi, nie znalazła w „Celestynie” — właściwego rezonansu. Centurion (Antoni Lewek) nie budził w nas grozy, może z tych samych przyczyn, dla których nie budziła jej sama Celestyna. Sereno (Ryszard Zuchowicz) uosabiający w inscenizacji schillerowskiej dydaktyczno-moralizatorski komentarz moralitetu nie potępił na koniec Centuriona gloryfikującego piekło. Kurtyna zakończyła bezapelacyjnie dramat.

Bogdan DANOWICZ

To i owo

Uwaga — rozkruszek!

Na placu walki o dobre przeżycie zbroń pojawił się groźny szkodnik. Jest nim pajęczek zwany rozkruszkami mącznym. Rozmnożył się on w ostatnich czasach przede wszystkim w tych składach i młynach, które nie były dezynsektowane z powodu walki zbożowej. Niektóre z instytucji, przechowyujących zboże i jego przetwory, uspokojone tym, że walka nie ma, zaniedbały, jak widać kontrolowanie obecności malutkiego pajęczaka, dość trudno zresztą dostrzegalnego, który korzystając ze swolstego zawieszenia broni, rozmnożył się w sposób masowy.

Jak wygląda ten szkodnik?

Jest to mały, ledwo dostrzegalny nieuzbrojonym okiem pajęczek (0,4 do 0,7 mm długości) barwy brudnobiałej, żerujący tak samo dobrze wśród ziarna, jak i wśród maki i kask. Szczególnie obficie grasuje w zbożach wilgotnych. Atakuje w pierwszym rzędzie zarodek ziarna, zmniejszając w ten sposób bardzo znacznie zdolność kiełkowania nasion. Poza tym w dużym stopniu zanieczyszcza zboże i makę.

Jego ekskrementy stają się pożywką dla bakterii i grzybków, które powodują zatrucie pokarmów. Produkty zakażone przez rozkruszkę wydzielają intensywny nieprzyjemny zapach przypominający nieco zapach miodu. Spożycie pokarmów, w których występował rozkruszek może spowodować schorzenie nie tak u człowieka jak i u zwierząt domowych. W szczególności u człowieka występują niedomagania skórne i zaburzenia trawienia. Poza tym zarażają się niedomagania dróg oddechowych.

Walka z rozkruszkami została już przez Centralę Zwalczenia Szkodników rozpoczęta. Utrudnieniem tej akcji jest ta okoliczność, że rozkruszek jako trudno dostrzegalny nie zawsze jest sygnalizowany przez instytucje magazynujące zboże. Winny one zwrócić baczniejszą uwagę na tego szkodnika, z którym walka z jednej strony zaoszczędzi poważny procent zboża, z drugiej zaś — wpłynie korzystnie na stan zdrowia ludności.

Dr T. N.

Ojcom naszego grodu i pannom do wiadomości

W księdze statutowej Poznania grodu, która wielce skrupulatnie była prowadzona od XV wieku po czasy rozbiórów Polski, a do której zapisywano wszelkie uchwały, zakazy i nakazy dla obywateli miasta, znalazła się m. in. uchwała niszcząca. Pochodzi ona z roku 1535. Przejęci troską o dobre obyczaje, ojcowie miasta tak postanowili:

„A, że wiemy dobrze, iż obywateli Rady i Władz Miejskich jest usuwać wszystko to, co może stanowić szkodliwą obrazę i zło, aby przez nieczyń i zaraźliwy przykład, nie ulegli pokuszeniu do przestępstwa ci, którzy są uczciwi i prawi, przeż to my — burmistrz, radni, wójt, ławnicy i starci — przysięgli z rzemiosł miasta Poznania — kierujemy nasze oczy na służących, a w szczególności na dziewczyny służebne, które, jak to zauważamy, w złe i występne popadają obyczaje i bezbożni bożej całej swobodzie przeznaczają na rzeczy zbytkowne, a nade wszystko na stroje, na wstążki i podobne ozdoby, na które wydają więcej, aniżeli zarabiają. Stąd też pochodzą, że złym oddają się sprawom aby zdobyć środki na te luzusy. I to także się zdarza, że służący okradają swych panów i występki popełniają zamierzane ku własnej tylko korzyści. Dlatego postanawiamy, aby następujące artykuły były po wieczne czasy przestrzegane w mieście Poznaniu i aby wszyscy, którzy w przyszłości do Rady Miejskiej wybrani zostaną, zobowiązani byli je zaprzysiądź, bronić ich i utrzymywać ich stosowanie”

Następuje tu pięć artykułów, w myśl których dziewczęta służebne, nianki i sprzedawczynie wzgl. szynkareczki nie powinny na ulicach pojawiać się w nakryciach głowy, ozdobionych w jedwabie i adamaszki długowłose albo w atłasy, a także w kołpaczkach podsztych jedwabiem lub kunimi futrami. Nie wolno im nosić pasów, narzutek, gorsetów i szali z takiegoż jedwabiu, adamaszku, atlasu i mory. Nie wolno też naszywać sukien długowłosym jedwabiem i adamaszkiem a także atlasami albo łasicznymi, kunimi i tchórzowymi futrami. Mogą natomiast naszywać suknie zwykłym jedwabiem, półatłasem, morą i arrasem (?) z tym, że szerokość naszywek nie może przekraczać 3 palców. Żadnej też służącej nie wolno nosić sukien bufiastych, które zwą sajanami, a które są bardzo obfite w fałdy, chyba, że fałd tych posiadają nie więcej niż 7—8.

Piąty i ostatni artykuł brzmi:

„A, że chcemy oko łatwo ulegać pokusie, przeto stanowimy, że służącym dziewczynom nie wolno do sukni przypinać ozdób złotych, srebrnych ani pereł, a także, aby na palcach nie nosiły pierścieni złotych i srebrnych ani złotych lub srebrnych pasów. Również zakazujemy, aby nie zdobyły się srebrnymi, złotymi ani z jedwabiu wykonanymi naszyjnikami. Zabraniamy im także używania obuwia z zamaszowej skóry — aby ubiór ich cechował nie luksus, lecz skromność obyczajów aby nie wydawały pieniędzy na rzeczy bezużyteczne, ale aby je zbierały na posag do przyszłego małżeństwa (sic)

A jeśli która służebna, nianka, lub szynkareczka przekroczy nasze zarządzenie i zakazy, zapłaci 8 groszy. Za ponowne przekroczenie zapłaci 12 groszy. A jeśli dowiemy się że trzeci raz upornie przekroczy nasz zarządzenie, odebrane jej zostaną rzeczy wzgl. zakazane przedmioty. Natomiast za czwartym razem zostanie wyędzona z naszego grodu, bez nadziei powrotu”.

Pomijając klasowy wydźwięk tej uchwały, jej nieaktualność w przedmiocie sporu, podziwiać jednak trzeba znaczną dozę zdrowego rozsądku, jaki w umotywowaniu jej wyraźnie przebiega.

Z roku 1535 pochodzi nasz poznański pręgierz, a więc z tego samego roku co wskazana uchwała. Mimo że wszelkie rachunki miejskie były w owym okresie bardzo skrupulatnie notowane w księgach miasta z tego okresu brak rozliczenia, z którego by wynikało z jakiego funduszu koszt pręgierza został pokryty. Nie ma również późniejszych wzmianek ani rachunków za wielokrotne restauracje pręgierza. Zarówno zbieżność wymienionych dat jak i pewne ustne tradycje miejscowe pozwalają przyjąć, że pręgierz został po prostu wykonany w oparciu o fundusz, jaki powstał z tytułu kar wpłacanych za przekroczenie wyżej omówionych zakazów.

Jeśli tak rzeczywiście było, a jest to wysoce prawdopodobne, to nie można odmówić ówczesnym ojcom naszego miasta pewnego poczucia humoru, być może bezwiednego, ale wielce pozytywicznego.

O samym pręgierzu należało by przypomnieć, że pierwotnie tego rodzaju słupy, na których zawieszano rękawice, kapelusze, miecze, krzyże, kawałki materiału itp., bywały znakami rynków w miastach posiadających przywileje handlowe. Stanowiły one bieżące prawowładności kupieckiej w handlu. Był to zwyczaj jeszcze średniowieczny, rozpowszechniony w centrach kupieckich tego okresu. Upamiętnienie tego znaku w figurze rycerza ze wzniesionym mieczem rozpowszechniło się na przełomie średniowiecza i okresu nowożytnego. Z czasem pręgierz stał się miejscem wymierzania kary i znakiem kary za łamanie prawowładności miejskiej. Postać rycerza ze wzniesionym mieczem już w średniowieczu skojarzyła się w umysłach ludzi z legendarną postacią rycerza Rolanda, bohatera wypraw Karola Wielkiego. Tak też i w Poznaniu przylgnęła do statutu tej nazwa Rolanda.

Wydaje się słusznym, aby o tradycjach ładu, skromności i uczciwości w handlu i w życiu społecznym od czasu do czasu przypomnieć, tym bardziej że pręgierz za pewien czas trzeba by znowu odrestaurować.

T. Wr.

Kim Nowak „WSCHODZĄCA GWIAZDA HOLLYWOOD”

Mówi się o niej, że „jest dziewczyną wartą milion dolarów”. Oczywiście... jeżeli zarobi je dla wytwórni „Columbia Pictures”.



Janusz Sauer

KOLEGA

Tomek pożegnał Asię na przystanku tramwajowym. Ścisnęła mocno dłoń i rzuciła wesoło studenckie „złam kark”. Jechał na egzamin.

Za nim do tramwaju wsiadł gość o puciołowatej twarzy i niebieskich oczach, które swą barwą przeciekały przez okulary w grubej, jasnej oprawie. Tomek znał go z widzenia, że był z „budy”, nie ulegało wątpliwości. Nie mógł jednak znaleźć ramki, z której twarz ta była wyjęta. Pewnie jechał tak jak on do uczelni.

— Kolega na egzamin? — zagadnął Tomek.

— Tak. A co, wy też?

— Tak. Dusza na ramieniu, ale jada... Właściwie to byłbym tylko na dwóch wykładach z początkiem roku. Zapomniałem nawet, jak ten „profil” wygląda.

— A z czego to egzamin? — zainteresował się kolega.

— Z fizyki — rzekł Tomek ziewając.

Przy oknie zwinęły się dwa miejsca, toteż rozsiadli się wygodnie.

— Bardzo lubię fizykę — chętnie wam coś wytłumaczę na prędce — zaofiarował się przygodny towarzysz.

Tomek przyjął pomoc i wyjął, w czym czuje się nietęgo. Wtedy kolega z „budy” wyrwał z wyświechtanego notesu kartkę, położył ją na kolanie i zaczął wyprowadzać wzory.

— Tak, tak rozumiem. Ach to w ten sposób...

Kolega kreślił, pokazywał, obracał kartkę po czym znowu pisał i tłumaczył.

— Ale z kolegi „bomba” — rzucił Tomek z uznaniem, klepiąc go solidnie po barach.

— Przecież to takie proste... — odrzekł zażenowany.

Tramwaj dojechał do przystanku, na którym trzeba było wysiąść.

Weszli do gmachu, z murów wionął przyjemny chłód. Szerokie schody prowadziły na pierwsze piętro. Drzwi gabinetu profesora były jeszcze zamknięte.



Zebrunp: Leo Haas

DELEGALIZACJA KPD w ujęciu niemieckiego tygodnika satyrycznego „Eulenspiegel”.

(Rys. Leo Haas)

— Mamy czas! — rzekł kolega i stanął przy oknie zapalając papierosa.

— Spóźniła się! — Tomek wskazał na drzwi gabinetu. — Powinien już być...

— Kto? — uśmiechnął się kolega nie kryjąc zdziwienia.

— Jak to, kto? Profesor!

— No, to pokażcie indeks! — rzekł przygodny towarzysz. — Wiem co umieć. Mogę wam spokojnie postawić stopień.

Tomek drżącą ręką podał tartą książeczkę. Profesor zielonym atramentem wpisał „nie dostatecznie”.

ZMYŚL HANDLOWY

Pan Brown miał magazyn z ubraniami na parterze drapacza chimur. Rano wszystko było w jego magazynie w porządku, ale w południe zjawili się na raz napisy: — Zupełna wyprzedaż! Zniżone ceny! Opróżniany cały magazyn!

Przyjaciół Brown'a zatrwożył się tym i zapytał o przyczynę tak nagłej zmiany.

— Dziewięćdziesiąte piętro pali się! — szepnął mu tajemniczo pan Brown.

SŁOWNY

— Tego rachunku nie mogę, niestety, w tym miesiącu zapłacić...

— Przecież pan tak mówił już w ubiegłym miesiącu!

— No i widzi pan — dotrzymałem słowa!

PRAWDOMÓWNA

— Ty masz dwadzieścia sześć lat? Przecież już przed trzema laty mówiłaś, że masz tyle samo?

— No, widzisz, ja nie jestem z tych, co raz mówią tak a drugi raz inaczej!

KOBIECA LOGIKA

— Przecież prosiłam cię, serce, żebyś nikomu nie mówiła, że jestem zaręczona!

— Ja też nie mówiłam, zapytałam się tylko w biurze, czy już wieś o tym.

RADA

— Przyjacielu, poradź mi, jaką depeszę mam wysłać ojcu, że już trzeci raz nie zdałem egzaminu...

— Bardzo proste! Depesuj: „Egzaminy skończone, nie nowego”.

(b)

WITOLD DEGLER

Na marginesie sopockich wybryków

Tyle szumowin w sopockim tłumie — boć się balwany muszą wyszumieć!

O nazwisku Mazurkiewicz

Czasem się znajdzie kanalia wśród ludzi, która im dobre nazwisko paskudzi.

Anekdoty

Gogol spotkał na ulicy znajomego, który bardzo się spieszył.

— Gdzież to się pan tak spieszy? — zapytał.

— Odwiedzić pewnego dobrego przyjaciela — brzmiała odpowiedź.

— W takim razie idę z panem! — zawołał Gogol. — Jeszcze nigdy nie widziałem dobrego przyjaciela!

Mark Twain znalazł sobie nowy pokój. Na drugi dzień rano po śniadaniu powiedział z uśmiechem do swojej nowej gospodyni:

— Droga pani, jeśli to, co dziś dostałem od pani na śniadanie było kawą, to proszę od jutra o herbatę, a jeśli to była herbata, to proszę od jutra o kawę.

Oskar Wilde opowiadał na Dzikim Zachodzie cowboyom o Balzacu. Gdy skończył, zapytał go jeden ze słuchaczy, co ten pan teraz robi. Oskar Wilde odpowiedział, że już nie żyje. W tym miejscu wtrącił jeden z cowboyów:

— A kto go zastrzelił?

Jerome, wypełniając pewnego razu kwestionariusz podatku dochodowego, w rubryce: „Kto jeszcze uczestniczy w przedsiębiorstwie” napisał:

„Magistrat i urząd skarbowy”

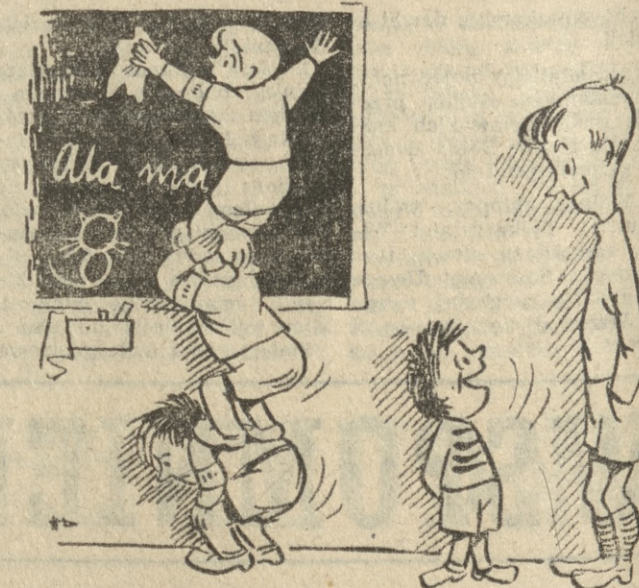
(b)

Pierwszoklasiści

RYŚ. H. DERWICH



— A to są pierwszoklasiści.



Staruszek: — Mając 20 lat, spadłem z trzeciego piętra...

Dama: — Jaki, i nie zabił się pan?

Staruszek: — Słowo daję, to było tak dawno, że nie przypominam sobie.

(ja)

— Gdy będziemy w piątej klasie, wystarczy nam jeden dyżurny.



Bez słów